

Wojciech Sady

Co szkodzi akademickiej filozofii w liberalnej Polsce?

W związku z niżem demograficznym i zmianami postaw młodzieży z jednej strony, a rodzącymi patologie systemami finansowania szkolnictwa wyższego wciąż na nowo ustalany przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego z drugiej, nad polską humanistyką, a filozofią w szczególności, zawisła groźba katastrofy. Powołano Komitet Kryzysowy Humanistyki Polskiej, organizowane są kolejne spotkania i kongresy dla przedyskutowania zaistniałej sytuacji, pisane protesty; inni z lękiem czekają, co będzie. Jeśli obecny kryzys ma przynieść owoce, należy zacząć od rzetelnej diagnozy obecnego stanu spraw. Zamiast wylewać żale nad tym, że źle nas – polskich filozofów – traktują, skoncentruję się na analizie stanu samego filozoficznego środowiska, wskazując co jakiś czas, jaki wpływ na ten stan wywiera zarówno socjalistyczne dziedzictwo, jak i poczynania liberalnych władz.

1. Jako próba znalezienia rzetelnie przemyślanej i wiarygodnej hipotezy na temat sensu życia, filozofia porusza zagadnienia dla ludzi najważniejsze. Religia, bez filozofii religijnej, systematyzującej i uzasadniającej jej dogmaty, jest ślepa (niestety, część duchownych, również tych ze szczytów kościelnej hierarchii, takiej właśnie religii by chciała). Nauka, choć samodzielnie dostarcza wiarygodnej wiedzy o przyrodzie, która znajduje też udane zastosowania praktyczne, nie daje nam poczucia sensu: w obrazie świata, jaki kreśli, wszystko jest takie, jakie jest, ale nie ma w nim żadnych wartości (co samym naukowcom zwykle nie przeszkadza).

Jeśli w społeczeństwie niewielu jest takich, którzy filozofują bądź czytają prace filozofów, jest to nieszczęście nie dla filozofii, ale dla społeczeństwa. Inne pytanie brzmi, czy społeczeństwo potrzebuje filozofii *akademickiej* i co akademicka filozofia ma społeczeństwu do zaoferowania.

2. Kolektywy myślowe rozpadają się – w świetle teorii Ludwika Flecka – na *kręgi ezoteryczne* i *kręgi egzoteryczne*. Pierwsze tworzą fachowcy, dru-

gie sympatycy bądź użytkownicy wypracowywanego przez krąg ezoteryczny stylu myślowego. Kręgi ezoteryczne z kolei to awangarda, grupa zasadnicza, a często też maruderzy. *Awangarda* to ci, którzy wnoszą wkład w rozwój stylu myślowego. *Grupę zasadniczą* tworzą dobrze wykształceni fachowcy, którzy są w stanie zrozumieć propozycje płynące od awangardy, poddać je krytycznej analizie, skomentować i objaśnić, a wreszcie scalić rozproszone idee w system. *Maruderów* powołuje do istnienia (to już moja diagnoza) instytucjonalizacja życia intelektualnego czy artystycznego.

Style myślowe do swego powstania i rozwoju potrzebują istnienia zarówno awangardy, jak i grupy zasadniczej: filozofię XX w. w wielkiej mierze ukształtowały *Bycie i czas* Heideggera czy *Dociekania filozoficzne* Wittgensteina, ale bez mrówczej pracy komentatorów książki te pozostałyby niezrozumiałe, a zapewne szybko poszłyby w zapomnienie. Potrzebne też są kręgi egzoteryczne: fachowcy muszą mieć dla kogo pracować, do kogo przemawiać. A wreszcie niezbędne jest społeczne zaplecze, gdzie fachowcy mogą wyszukiwać swoich następców – by styl myślowy nie znikł, gdy poumierają.

Twórcy nowych idei nie muszą pracować na uniwersytetach. Trudno natomiast wyobrazić sobie uformowanie się dobrze funkcjonujących grup zasadniczych bez trwałego instytucjonalnego umocowania. Różnie z tym w historii bywało. Czasem ich członkowie znajdowali schronienie w klasztorach lub na dworach władców, czasami byli oni rentierami. Od XIX w. grupy zasadnicze różnych dyscyplin humanistycznych, a bardziej jeszcze nauk przyrodniczych i społecznych, zostały ulokowane na uniwersytetach. Z jednej strony jest to niesłychanie korzystne, bo zapewnia finansową stabilizację i dobre warunki do kształcenia kolejnych pokoleń zarówno fachowców, jak i sympatyków. Z drugiej rodzi patologie, gdyż drogi do akademickich karier często rozmijają się z drogami autentycznych dociekań, a zawodność wstępnych sit rekrutacyjnych – zwłaszcza w humanistyce, gdzie nie daje się (wbrew niefortunnym w tym względzie próbom MNiSzW) wprowadzić ilościowych kryteriów oceniania – sprawia, że dyscypliny są kompromitowane, a społeczeństwo obciążane finansowo przez maruderów na uczelniach etatach.

Ceną dodatkową, czasem bardzo bolesną, jest uwikłanie uniwersyteckich filozofów, i w ogóle humanistów, w interesy tych, którzy (współ)decydują o ich zatrudnianiu – co w pewnych systemach społecznych rodzi grupę humanistów-ideologów, szczególnie przyjazną dla „miernych, ale wiernych”.

3. Takie uwikłanie z wielką siłą wystąpiło w Polsce w epoce stalinizmu. Zelżało za rządów Władysława Gomułki i wtedy ukształtowała się sytuacja, która w ogólnych zarysach przetrwała do 1989 r. Mieliśmy dwie grupy filozoficznych ideologów: katolickich, skupionych głównie na KUL-u w Lublinie i na ATK w Warszawie, oraz marksistowskich na pozostałych uczelniach wyższych. Wśród tych mniej-lub-bardziej ideologów płątały się grupki feno-

menologów, egzystencjalistów, empirystów logicznych, spadkobierców szkoły lwowsko-warszawskiej, a także mniej lub bardziej neutralnych światopoglądowo historyków filozofii, etyków czy estetyków – i gdy przegląda się publikacje filozoficzne z lat 1956–1989, łatwo stwierdzić, że właśnie ci ani-marksieści ani-katolicy nadawali polskiej filozofii ton. Najlepszym tego dokumentem są zeszyty „Studiów Filozoficznych”, powołanych do życia wraz z końcem stalinizmu, jako dwumiesięcznik, później kwartalnik, znów dwumiesięcznik, a od 1972 r. miesięcznik. Zlikwidowano to czasopismo w 1990 r., gdy nastał kapitalizm. Obraz wyłaniający się ze stron „Studiów Filozoficznych” jest zdeformowany, brakuje w nim bowiem prac filozofów katolickich – co łatwo uzupełnić dodając zwłaszcza zeszyty wydawanych na KUL-u „Roczników Filozoficznych”. Brakuje też myślicieli objętych zapisami cenzuralnymi – czego już w pełni odtworzyć się nie da.

Ideolodzy katolicycy pozostawali w opozycji do władz państwowych, co nobilitowało ich w oczach antysocjalistycznego w większości społeczeństwa, a zwłaszcza elit intelektualnych. Zaś kościół instytucjonalny potrzebował swych filozofów jako bojowników o Prawdę. Byli tacy filozofowie marksistowscy i katolicycy, po których zostały znakomite prace. Niektórzy z zaangażowanych marksistów, gdy ekipa Gomułki zdradziła komunistyczne ideały pozwalając na istnienie ograniczonej własności prywatnej, zwłaszcza w rolnictwie, a także na limitowaną działalność Kościoła rzymskiego, przeszli na pozycje rewizjonistyczne, a później przekształcili się w krytyków „realnego socjalizmu”. W 1968 r. większość tych najważniejszych opuściła kraj (żaden – podobnie jak Heidegger z faszyzmu – nie rozliczył się ze stalinowskiej przeszłości).

Do 1968 r. filozofię studiowało się na uniwersytetach Jagiellońskim, Warszawskim, na KUL-u w Lublinie i na ATK w Warszawie, a na roku było zwykle kilkunastu studentów. Po Marcu studia filozoficzne, poza tymi w uczelniach katolickich, zlikwidowano. By wypełnić lukę po emigracji „rewizjonistów”, w ciągu paru lat utworzono szereg nowych instytutów filozofii o niemal stu-procentowym upartyjnieniu – na UAM w Poznaniu, uniwersytetach Wrocławskim, Śląskim, Łódzkim, UMCS w Lublinie – a zgromadzono tam zaangażowanych (ktoś powie: służalczych) ideologów, absolwentów różnych kierunków studiów. Po czym znów otwarto nabór na studia filozoficzne, na niewielkich liczebnie latach. Efekty były godne uwagi, gdyż pozafilozoficzne wykształcenie prowadziło tych nowych filozofów do podejmowania interesujących często zagadnień, a nie do komentowania tego, co któryś z zagranicznych filozofów o czymś tam napisał.

Powstała w ten sposób grupa zasadnicza, w której mieszały się uczniowie Romana Ingardena, Kazimierza Ajdukiewicza, Tadeusza Kotarbińskiego i innych filozofów okresu międzywojennego z tymi z rekrutacji partyjnej. Jej

poziom, o czym można się przekonać czytając „Studia Filozoficzne”, niewiele ustępował poziomowi analogicznych grup z Niemiec, Francji czy Anglii. Zabrakło natomiast awangardy, twórców nowych idei. Choć było nieco gwiazd rzekomych: niektórzy filozoficzni amatorzy skupili wokół siebie jeszcze większych amatorów i tak powstawały szkoły myślowe, grzęznące w samozadowoleniu wzmocnionym przez brak kontaktów z szerokim światem. Zapuśćmy na to zjawisko – nie tylko wszak polskie – litościwą zasłonę milczenia.

Stosunkowo dobry poziom grupy zasadniczej utrzymywany był dzięki sprawnemu systemowi recenzenckiemu w „Studiach Filozoficznych” i innych czasopismach, a także w wydawnictwach książkowych. Wydawnictw było niewiele, a kilka z nich, dzięki znakomitym zespołom redaktorskim, zyskało sporą w kraju renomę. Mało tego, ten, kto przeszedł przez recenzenckie sito, otrzymywał za pracę godziwą zapłatę: za artykuł ogłoszony w „Studiach” autor/ka otrzymywał/a honorarium w wysokości mniej więcej miesięcznej pensji adiunkta. Owszem, korzystali na tym partyjni ideolodzy, ale grosz skapywał też tym, którzy rzetelnie pracowali.

Przez wszystkie te lata tworzone Bibliotekę Klasyków Filozofii, w której publikowano dobre tłumaczenia wielkich dzieł (a także ważniejszych tekstów dawnych filozofów polskich), a nad całością czuwał złożony z fachowców Komitet Redakcyjny. Ogłaszano inne przekłady, w PWN-ie i gdzie indziej, zawsze poddawane wnikliwym recenzjom. A teraz o czymś, co dziś się w głowie nie mieści: typowy nakład książek wydawanych w ramach BKF wynosił cztery tysiące egzemplarzy, w niektórych przypadkach sięgał dziesięciu, a nawet dwudziestu tysięcy – i zawsze całość (bardzo) szybko się sprzedawała. Filozofów na etatach było nie więcej niż tysiąc, a zatem większość książek klasyków kupowali sympatycy. Dotyczy to także „Studiów Filozoficznych” – gdzie fachowcy publikowali teksty adresowane zasadniczo do fachowców – które przez szereg lat sprzedawały się w nakładzie 3000 egzemplarzy! Katolicki miesięcznik „Znak”, ogłaszający sporo tekstów filozoficznych – popularnych raczej niż fachowych – wychodził w latach 1970-ych w nakładzie 7000 egzemplarzy, a prawie każdy numer natychmiast znikał z kiosków i księgarni! Co oznacza, że ezoteryczny krąg filozofów był w tym okresie otoczony przez o wiele liczniejszy krąg egzoteryczny. Ponieważ sympatycy filozofii – niektórzy od czasu do czasu też publikowali w filozoficznych pismach – reprezentowali różne dziedziny kultury, prowadziło to do twórczej wymiany idei między wspólnotami myślowymi.

Nie chcę bynajmniej twierdzić, że „za komuny” było dobrze. Dostęp do literatury światowej był nieraz trudny, kontakty z centrami myśli filozoficznej za granicą limitowane, a nieraz niemożliwe, cenzura blokowała przepływ informacji o niektórych myślicielach (choć z ważnych filozofów XX w. zakazana była jedynie Hannah Arendt), nie wolno było podejmować niektórych

zagadnień z zakresu filozofii społecznej i politycznej. Bez końca można spierać się o ocenę tamtego okresu, ale tu interesuje nas sytuacja po transformacji ustrojowej.

4. Co się stało po 1989 r.?

Jak powiązani z aparatem władzy marksiści tolerowali nie-marksistów, tak nie-marksisti po 1989 r. pozwolili dawnym marksistom – którzy rychło zapomnieli, że niegdyś należeli do PZPR i „naukowo uzasadniali” wyższość socjalizmu nad kapitalizmem – pozostać na uczelnianych etatach. Równolegle triumfujący polski Kościół rzymskokatolicki przestał potrzebować swoich filozofów, a począł ferować intelektualnych zadymiarzy.

Kontrolę nad polską polityką – przy wszystkich jej zawirowaniach i niekonsekwencjach – przejęli liberałowie, którym refleksja filozoficzna była obca. Charakterystyczne dla nich było puszczenie pewnych spraw na żywioł – nie tyle by poszerzyć granice wolności, co by pozbyć się odpowiedzialności – przy jednoczesnym wzmacnianiu biurokratycznej kontroli przez mnożenie wymogów formalnych – by coś dla siebie przy okazji uszczknąć. A to, jak zwykle, pobudzało i pobudzać będzie do mnożenia pozorów.

Nowi władcy Polski, ze wciąż zmieniających się u steru partii politycznych, postanowili – częściowo z troski o przyszłość kraju, a częściowo, by ograniczyć bezrobocie – skierować na studia parokrotnie więcej młodych ludzi niż studiowało za socjalizmu. Ale nie mieli zamiaru, a pewnie też nie mieli z czego, tego finansować, pozwolili więc tworzyć płatne studia wieczorowe, zaoczne, wreszcie prywatne. Ze swej strony środowisko wykładowców akademickich dostrzegło możliwość dodatkowego zarobku – wielu zaniedbało pracę naukową, a poświęciło się chałturze dydaktycznej. Ci, którzy tak uczynili, zostali nagrodzeni: za „naukową” część etatu płacono im bez zmian, choć naukę uprawiali marnie, a czasem wcale, z dydaktyki natomiast niektórzy wyciągali całkiem niezły grosz. Takie warunki pracy i płacy, podkreślmy to, ustalili nie naukowcy, ale politycy.

Do dziś takiego systemu płac nie zmieniono! Pozorując działania, zwiększono pieniądze na granty (po polsku: projekty badawcze), ale ograniczono ich liczbę do ok. 20 rocznie na całe środowisko filozofów. Zadbano też o to, żeby na realizacji projektów badawczych nikt nie zarobił tyle, ile zarabia się na dydaktycznej chałturze. Nietknięta pozostała ta część pieniędzy, którą (w domyśle przynajmniej) dostają pracownicy naukowo-dydaktyczni za badania naukowe – niezależnie od tego, czy badania prowadzą. Gdy znaleźliśmy się w Unii Europejskiej, ci sami politycy, którzy ustalili takie warunki pracy i płacy na uczelniach – przez lata psujące jakość wspólnot badawczych – zaczęli biadolić, że uczeni polscy nie zdobywają grantów europejskich. (Nauka polska jako całość, za socjalizmu zajmująca 10. miejsce na świecie – mierzone ilością publikacji w czołowych czasopismach – dziś spadła w okolice miejsca 16.).

Zlikwidowano system dotacji wydawniczych, który pozwalał autorowi artykułu bądź książki wypłacić honorarium – tak aby ci, którzy coś piszą, jeszcze wyraźniej tracili w stosunku do tych, którzy etat na uczelni traktują jako luksusową odskocznię do zarabiania pieniędzy gdzie indziej.

Zachowano natomiast honoraria za recenzje doktorskie i habilitacyjne – promując tym samym brak krytycyzmu naukowego. Doskonale wiedziano, że recenzentki/ci piszący recenzje rzetelne, a tym samym od czasu do czasu negatywne, natychmiast przestają być powoływane/i przez Rady Wydziałów na recenzentów – i nic z tym nie zrobiono. Ostatnio dodatkowo nagrodzono takie pseudo-recenzenckie praktyki wprowadzając wymóg napisania co najmniej trzech recenzji przy staraniu się o tytuł profesorski. Sygnał od polityków jest jasny: zwiększysz swoją szansę na awans, jeśli porzucisz naukowy krytycyzm. Tym bardziej, że nikt nie pyta, dlaczego NN ani razu w życiu nie napisał/a negatywnej recenzji. Nikt nie każe tłumaczyć się autorom pozytywnych recenzji w przypadkach, gdy inne recenzje były negatywne. Chcesz być uczciwa/y, to tracisz, robisz pozory, wszyscy cię lubią, a w dodatku ci płacą – zgodnie w regulami ustalonymi przez polityków.

Patologie wytwarzał też system finansowania uczelni uzależniający ilość pieniędzy od liczby studentów. Z uwagi na wymogi rynku pracy powinny istnieć kierunki, na których kształcą się kilku studentów, w dodatku na nie więcej niż dwóch czy trzech uniwersytetach. Ale skoro można na tym zarobić, zaczęto mnożyć studia z np. historii sztuki z setką studentek/ów na jednym roku. Gdyby z kolei uczelnia chciała kształcić tyłu, ilu rynek potrzebuje, musiałaby do tego sama dopłacać. To był wybór naszego Ministerstwa, które wolało płacić więcej za kształcenie bezrobotnych niż płacić mniej za kształcenie tyłu, ilu trzeba.

Ta ostatnia uwaga nie stosuje się, co trzeba podkreślić, do studiów filozoficznych: ich absolwenci charakteryzują się dużą zawodową elastycznością i rozwiniętymi zdolnościami samokształcenia; w rezultacie, jak wykazują badania socjologiczne, na rynku pracy radzą sobie lepiej niż prawie wszyscy inni. Czego też ludzie kierujący polską nauką starali się nie wiedzieć i w ostatnich latach – nie licząc się z faktami – posłużyli się „filozofią” jako symboliczną nazwą studiów produkujących bezrobotnych.

5. Od pewnego czasu politycy ogłaszają, że dość tego: odtąd jednostki naukowo-dydaktyczne będą rozliczane z efektów działalności badawczej, co ma się odbić na ilości otrzymywanych pieniędzy. Prób takich podejmowano już parę, zapowiedzi czyniono jeszcze więcej – to, że nic z tego nie wyszło, każe sceptycznie patrzeć w przyszłość. Podkreślmy: nie chodzi w tym przypadku o zwiększenie dotacji budżetowej dla uczelni, wystarczyłoby wyraźnie rozdzielić płace na część dydaktyczną i badawczą, tę drugą wypłacając

w zależności od wyników badań, a te same pieniądze zaczęłyby przynosić bardzo odmienne efekty.

Jeśli o humanistykę chodzi, to narzucono jej systemy ocen parametrycznych przeniesione z nauk przyrodniczych, co wyrządza wielkie szkody.

Po pierwsze, w humanistyce tekstami podstawowymi są książki, nie artykuły – tymczasem za półarkuszowy tekst w średniej rangi czasopiśmie można otrzymać 8–10 punktów, a za 40-arkuszową książkę przyznaje się punktów 20! Tyle samo, trzeba od razu zaznaczyć, przyznaje się za książ(ecz)kę 6-arkuszową. Ilość punktów nie zależy przy tym od wydawnictwa: czy jest ono renomowane, czy lokalne i byle jakie. Ważne, by w książce zostało podane nazwisko recenzentki/a, i by miała naukową bibliografię. (Zgodnie z tym drugim warunkiem, Wittgensteinowi za *Dociekania filozoficzne* i Husserlowi za *Idee czystej fenomenologii* punktów by nie przyznano, a Heidegger z *Byciem i czasem* miałby poważne trudności).

Wymóg recenzji wydawniczych wymaga osobnego komentarza. Jest tajemnicą poliszynela, że aż nazbyt często są to recenzje koleżeńskie. Znam przypadki, gdy autor/ka sam/a własną książkę recenzował/a, a koleżanka/ga pod taką „recenzją” podpis złożył/a. Zgodnie z polityką MNiSzW, by płacić za robienie pozorów, a nie za rzetelną pracę, recenzenci – ale już nie autorzy – honoraria otrzymują. Nie są duże, ale zawsze coś skapnie. (Pewna pani doktor nie tylko dokonała plagiatu, ale prawie ten sam tekst, przepisany po kawałku z cudzych prac, ogłosiła jako dwie książki, różniące się tytułami. W obu widnieją nazwiska tych samych recenzentów. Na moje uporczywe – zadawane publicznie – pytania, jak do tego doszło, oboje recenzenci zareagowali wyniosłym milczeniem). Gdy przegląda się nazwiska recenzentów wydawniczych, nie sposób też nie zauważyć, jak często pojawiają się nazwiska tych samych osób, które nigdy nie piszą negatywnych recenzji prac doktorskich i habilitacyjnych. O istnieniu tych „recenzentów spolegliwych” wie też MNiSzW – i nic z tym nie robi, za to bez zmużenia oka przyznaje punkty parametryczne. (Moje wrażenie – choć trudno mi je poprzec ilościową analizą – jest takie, że szczególnie wiele szkód narobili pod tym względem niegdysiejsi marksieści).

Jakby tego było mało, w kolejnych systemach ocen parametrycznych nie przyznaje się punktów za recenzje książek już wydanych, zamieszczane w czasopismach fachowych. Sygnał ze strony MNiSzW jest jasny: nie dopuścimy do istnienia recenzji niezależnych. Książki złożone do druku będą recenzować osoby wskazane przez autorkę/a. Rozprawy habilitacyjne zrecenzują osoby wskazane częściowo przez Rady Wydziału, zwykle w porozumieniu z kandydatką/em. Ale nie będziemy pochwalać, a tym bardziej w jakikolwiek sposób nagradzać, recenzji niezależnych. W ten sposób, jednocześnie ubolewając nad zanikiem naukowego krytycyzmu, krytycyzm ten się administracyjnie ogra-

nicza. A to w dzisiejszej sytuacji jest szczególnie groźne – co trzeba teraz wyjaśnić.

6. Trzydzieści kilka lat temu w życie ludzi wdarły się komputery osobiste, a nieco później internet, do tego skanery, nagrywaczki płyt CD, aparaty cyfrowe. Wszystkie te dobrodziejstwa postawiły uniwersyteckich humanistów – a także filmowców, muzyków, pisarzy i innych twórców – w trudnej sytuacji. Łatwość kopiowania i wymieniania plików spowodowała załamanie się sprzedaży płyt z muzyką, bankrutują wydawnictwa, z ulic miast jedna po drugiej znikają księgarnie. Coraz mniejsza liczba twórców jest w stanie wyżyć z tego, co tworzy. Jeśli chcemy, aby w naszym świecie wciąż funkcjonowali pisarze, filozofowie, muzycy – twórcy kultury wysokiej, nie tej dla tłumu – niezbędne są rozwiązania systemowe. Politycy, nie tylko w Polsce, pozostają wobec tego problemu obojętni.

Jest też druga strona medalu, na pierwszy rzut oka bardzo dla twórców korzystna. Komputery i nowe techniki poligraficzne niesłychanie ułatwiły produkcję dzieł artystycznych czy książek. Jeśli o nas, filozofów, chodzi, to jeszcze ćwierć wieku temu wydanie książki bądź zeszytu czasopisma wymagało wielkiej pracy redaktorów, zecerów, drukarzy, introligatorów. Dziś każdy może przygotować tekst do druku na domowym komputerze, a maszyny powielą go, zszyją i dolepią okładkę, a jak się szczególnie postaramy, to książka trafi na rynek w kilka dni od zakończenia pracy nad tekstem.

Byłoby pięknie, gdyby nie to, że właśnie ta łatwość i taniość wywołały zalew publikacji byle jakich, dyletanckich, o niczym ważnym. Nastąpił też zalew tłumaczeń dokonanych często przez osoby przypadkowe, z których spora część wyrządza więcej szkód – mnożąc chaos terminologiczny i szerząc językową nieporadność – niż czyni pożytku. Tym bardziej, że gdy ukaże się zły przekład, o wydanie kolejnego, dobrego przekładu tej samej pracy nie jest łatwo. Brak systemu niezależnych recenzji pogłębia trwający od dwudziestu lat wydawniczy chaos. Ale wymogi systemu ocen parametrycznych skłaniają dziekanów do finansowania druku kolejnych książek, autorskich bądź zbiorowych.

Potrzeba zdobywania punktów za publikacje, w połączeniu z zawodowymi ambicjami, wywołała jeszcze jedno zjawisko – znów przy pełnej akceptacji MNiSzW, które nawet przyznało za to dodatkowe punkty – a mianowicie powstawanie niezliczonej ilości pism filozoficznych. Za socjalizmu mieliśmy *Studia Filozoficzne*, *Ruch Filozoficzny* (kwartalnik o charakterze głównie informacyjnym), częściowo filozoficzny *Człowiek i Światopogląd*, katolicki kwartalnik *Roczniki Filozoficzne* (z jednym zeszytem w roku poświęconym psychologii), półrocznik *Studia Philosophica Christiana*, roczniki *Archiwum Historii Filozofii i Myśli Społecznej*, *Studia Estetyczne*, *Etyka* – i to prawie wszystko. Zwłaszcza *Studia Filozoficzne* integrowały (niekatolickie) środowisko, decydowały o tym, kto się w kraju liczy: każdy prawie filozof to pismo regularnie

kupował i przynajmniej część artykułów czytał. Dawały też młodym szansę na zaistnienie w środowisku (co wiem z własnego doświadczenia).

Na liście czasopism punktowanych, ogłoszonej przez MNiSzW w 2013 r. naliczyłem 54 czasopisma filozoficzne i 22 publikujące m.in. teksty z filozofii. Skutek tego jest taki, że nie tylko nikt tych pism nie czyta, ale nawet nie wiemy o ich istnieniu. Nie mówię tego bezzasadnie. Kilka lat temu jako członek komisji akredytacyjnej oceniałem uniwersytet A, a wkrótce potem uniwersytet B. Dyrekcja Instytutu Filozofii w B z dumą pokazywała nam regały wypełnione wydawanymi tam kwartalnikami filozoficznymi. Zapytałem wtedy, co sądzą o pismach redagowanych w Instytucie Filozofii w A – a było tych pism cztery. Niczego nie sądzili, bo nikt z nich nawet nie wiedział, że takie pisma się ukazują! Sam publikuję w ostatnich latach swoje teksty w *Przeglądzie Filozoficznym* i *Filozofii Nauki*, pismach niby to z najwyższej krajowej półki, po czym nie spotykam nikogo prawie, kto by choćby wiedział o tym, że Sady coś tam napisał.

W rezultacie nastąpiła bardzo silna dezintegracja środowiska. Groźna zwłaszcza dla młodych, którzy pozbawieni zostali szans na środowiskowe zaistnienie. Wypełniamy tych siedemdziesiąt kilka periodyków tekstami, za które uzyskujemy punkty do oceny parametrycznej, a także podstawę do awansów czy starań o granty – i na tym się ich funkcja kończy. Tracimy w ten sposób szansę na tworzenie rodzimych szkół filozoficznych. Zamiast tego większość z nas zajmuje się streszczaniem po polsku tego, co piszą filozofowie z Zachodu, rzadziej z innych stron świata. To zaś skazuje polską humanistykę na marginalizację na światowym rynku idei.

Brak niezależnych recenzji, pobłażliwość – i bezkarność – recenzentów prac doktorskich i habilitacyjnych, ilościowe wyłącznie zasady oceniania dorobku w sytuacji, gdy każdy prawie tekst da się gdzieś opublikować, wszystko to powiększyło w ezoterycznym kręgu kolektywu myślowego filozofów polskich udział maruderów. I znaleźliśmy się w sytuacji takiej, że nie ma już prawie doktoratów i habilitacji na tyle słabych, aby nie znaleźli się habilitowani recenzenci, którzy napiszą z nich pozytywne recenzje.

Utraciliśmy też swój krąg egzoteryczny – sami nie kupujemy i nie czytamy polskich czasopism, tym bardziej nie czytają ich sympatycy filozofii. A nie czytając – znikają.

7. Brak studentów powoduje, że polscy filozofowie stanęli w obliczu groźby utraty pracy. Nie sposób odmówić słuszności wielu organizowanym w związku z tym protestom. Ale obecna sytuacja stwarza też szansę na to – skoro już nie mamy innego wyjścia – by podjąć dzieło naprawy stanu środowiska. Byliśmy w psuciu polskiej humanistyki wspierani, a nawet inspirowani, przez polityków – ale to my przez lata nie organizowaliśmy uczciwych konkursów na nowe etaty, traktując uniwersyteckie instytuty czy wydziały niczym prywatne folwar-

ki, to my blokowaliśmy mechanizmy rotacji kadr, my zastąpiliśmy procedury recenzowania pisaniem koleżeńskich laurek, my stworzyliśmy dziesiątki czasopism tylko po to, by zaspokajać własne ambicje i zdobywać punkty, i tak dalej.

Chciałem na koniec napisać, co należy w tej sytuacji czynić – ale to akurat jasno wynika z powyższych uwag. Tak czy inaczej nie znajduję odpowiedzi na pytanie, kto by się mógł dzieła naprawy podjąć.